[Duży Format](http://wyborcza.pl/duzyformat/0,0.html" \o "Duży Format)

Krystyna Rożnowska: Same słowa "Kobierzyn" i "Tworki" budziły w społeczeństwie przerażenie

WYWIAD

Aleksandra Szyłło

05 czerwca 2017 | 00:01

[3 ZDJĘCIA](http://wyborcza.pl/duzyformat/51,127290,21901293.html?i=0)

W latach 1951-78 w Kobierzynie działał nawet oddział dziecięcy. W roku 1953 utworzono przedszkole i szkołę, by najmłodszych pacjentów leczyć nie tylko farmakologicznie, ale też poprzez naukę i 'reedukację' (Fot. Archiwum Szpitala Specjalistycznego im. dr. J. Babińskiego)

Nawet lekarze uważali, że kontakt ciężarnej z osobą chorą psychicznie zaszkodzi płodowi. Rozmowa z Krystyną Rożnowską, autorką książki "Można oszaleć", o 100-letniej historii szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie.

**„W latach 80. schowałam się w Kobierzynie przed polityką”. Przecież to szpital psychiatryczny. Co się pani wtedy stało?**

– Z powodu stanu wojennego zamknięto „Gazetę Krakowską”, w której byłam dziennikarką. Część zespołu poszła do propartyjnego dziennika, część stanęła po stronie „Solidarności”. Kombinowałam, jak zachować twarz i chleb. Miałam dwójkę małych dzieci. Wymyśliłam, że skoro nie mogę być dziennikarką, pójdę do studium pielęgniarskiego. Miałam 35 lat, byłam pośród 20-latek i jeszcze ukrywałam, że jestem magistrem historii. Po kilku miesiącach redakcja „Gazety Krakowskiej” wznowiła jednak pracę. Wróciłam, ale nie chciałam pisać o polityce, ale o medycynie. Jeszcze przez rok uczyłam się na pielęgniarkę: noce na praktyce w szpitalu, dni w redakcji, dzieci u babci. Kobierzyn był jedną z prób szukania ważnych tematów poza bieżącymi wydarzeniami. Szpital i park pod Krakowem, za którego bramą czas płynie w zupełnie innym tempie, budził ciekawość.

**Po latach wracała tam pani, by udokumentować stuletnią historię placówki. Spotyka pani Janinę Srokę, salową, później pielęgniarkę. Ma 75 lat, całe życie przepracowała w Kobierzynie.**

– Gdy ją poznałam, była już na emeryturze, ale nadal pracowała. Oficjalnie na pół etatu, realnie na więcej. Przed wojną, aby dostać upragnioną, cenioną posadę w państwowym szpitalu, musiała przynieść od proboszcza zaświadczenie o moralności. Dostała, choć ksiądz próbował ją zniechęcić, bo uważał pracę z „wariatami” za zbyt ciężką i niewdzięczną. Zakonnice, a wszystkie pielęgniarki były zakonnicami, wybierały dziewczyny na salowe również wedle urody. Miały być wysokie i przystojne, żeby dobrze komponowały się z charakterem bardzo nowoczesnej jak na owe czasy placówki.

**Nowoczesnej?**

– Plan szpitala powstał w 1903 roku, pod zaborami. Pierwsi pacjenci zostali przyjęci w 1917 roku. Już sama idea budowy ośrodka dla osób chorych psychicznie – w wielkim i zadbanym ogrodzie, z willową zabudową, sadem, folwarkiem, warsztatami rzemieślniczymi, kaplicą, teatrem, wąskotorową kolejką rozwożącą jedzenie na oddziały – była wielce nowoczesna. Wtedy osoby chore psychicznie, również dzieci, zazwyczaj były ukrywane przez rodzinę, ze wstydu, w komórkach czy stajniach, czasem bite, głodzone. Wcześniej w Galicji był tylko jeden szpital, gdzie takie osoby mogły uzyskać pomoc – w Kulparkowie pod Lwowem. Jaka więc była realna dostępność leczenia? Żadna.

Obecnie widzimy wiele rzeczy inaczej. Podobny do Kobierzyna ośrodek w Tworkach pod Warszawą, który również powstał przed wojną, nazwano „Dla obłąkanych i idiotów”. Same słowa, zarówno „Kobierzyn”, jak i „Tworki”, budziły w społeczeństwie przerażenie. Działało wiele przesądów. Nawet część lekarzy uważała, że ciężarna nie powinna stykać się z osobą chorą psychicznie, bo zaszkodzi to płodowi.

**W Kobierzynie był podział na pacjentów „lepszych” i „gorszych”. „Lepsi” dopłacali do pobytu i dostawali bardziej pożywne jedzenie oraz wygodniejsze warunki lokalowe.**

– Podział odzwierciedlał ten zza murów. Ale czy to dziwne? Jeśli ktoś ma dziś dodatkowe, prywatne ubezpieczenie zdrowotne, np. z korporacji, to w publicznym szpitalu też dostaje osobny, odmalowany pokój, a na śniadanie więcej niż parówkę.

**Nie było jeszcze leków psychotropowych.**

– Chorzy w ostrej psychozie demolowali pomieszczenia szpitalne, bili personel. Próbowano okiełznać ich, trzymając w zimnej kąpieli albo zawiniętych w mokre prześcieradła posypane obficie solą.

**Zastanawiam się, czy wierzyć pani Janinie oraz innym pielęgniarkom, gdy mówią, że nigdy pacjentom nie oddawano razów. „Miałam rozcięty łuk brwiowy, krew popłynęła, ale nie wolno oddać, przecież to nie wina chorego, że chory”.**

– Tego już nie sprawdzimy. Nie zachowały się żadne relacje chorych z tamtego okresu. W ogóle zdziwiło mnie, że pierwsze książki o Kobierzynie pisane były wyłącznie z perspektywy cenionych w środowisku doktorów psychiatrii i dotyczyły ich urzędowania oraz osiągnięć. Próżno szukać historii pacjentów, ich punktu widzenia. Czy pani Janina idealizuje swoją rolę? Może. Opowiada o swoim życiu spędzonym w Kobierzynie, mając 75 lat, a z tej perspektywy człowiek może widzieć swoje postępowanie inaczej. Może próbować nawet przed sobą uzasadnić pewne wybory. Z drugiej strony miałam poczucie, że jest autentyczna, zwłaszcza że bardzo prawdziwy jest jej etos pracy, poczucie służby. Przed wojną personel Kobierzyna, jak wszyscy „na państwowej posadzie”, był dobrze opłacany, to nobilitowało.

**W pierwszych dniach września ’39 dyrektor szpitala Władysław Stryjeński wyjechał z synem do Szwajcarii. Pani Janina też chciała uciec, nawet na wschód, byle daleko od frontu.**

– Ale zakonnica uklękła przed nią i powiedziała: „Jeśli ty odejdziesz, stracę wiarę”. „Gdyby przeze mnie zakonnica miała stracić wiarę...” – śmieje się po latach pani Janina. Rzuciła walizkę i została.

W pierwszym roku wojny stu pacjentów zmarło z głodu. Lekarze fałszowali dokumentację medyczną, by ukryć wśród chorych grupę polskich żołnierzy, mimo że groziła za to śmierć. W 1941 Niemcy zabili 91 pacjentów żydowskiego pochodzenia. W czerwcu 1942 resztę, ponad pięćset osób, wywieziono wagonami bydlęcymi do Oświęcimia. Osoby w najcięższym stanie zostały rozstrzelane na miejscu. Personelowi udało się ukryć jedną osobę. Dziś w kaplicy szpitalnej jest tablica: „Pamięci Norberta Chmielewskiego i Stanisławy Papały, którzy uratowali Walerię Białońską, jedyną pacjentkę ocaloną z pogromu 23 czerwca 1942 r.”.

Niemcy nie powiedzieli personelowi Kobierzyna, że wiozą podopiecznych do Oświęcima, ale że zapewnią im opiekę gdzieś pod Warszawą. Dopiero po jakimś czasie polska sprzątaczka zobaczyła dokumenty na biurku nowego, niemieckiego dyrektora szpitala, z których dowiedziano się prawdy. Po pogromie łóżka szpitalne zajęli ranni Niemcy i Włosi. Polski personel opiekował się nimi z równym oddaniem, zgodnie z etyką. Według świadków niektórzy ci młodzi niemieccy chłopcy przeklinali wojnę. W ramach swoistej „rozrywki” urządzali w ukwieconych, przyszpitalnych alejkach makabryczne pochody. Najpierw szli ci bez prawej nogi, potem bez lewej, potem bez rąk... To był protest przeciw wojnie.

Były tam jeszcze koszary SS i obóz szkoleniowy Hitlerjugend. Aż przyszła Armia Czerwona i w opuszczonych przez hitlerowców łóżkach położyła swoich rannych, którym również służył ten sam personel.

**W 1946 szpital znów przyjął pierwszych polskich pacjentów. W tym pewną grupę zdrowych AK-owców, których lekarze, znów pod sfałszowanymi dokumentami, ukrywali przed UB.**

– Nie udało mi się dotrzeć do nazwisk tych ukrywanych partyzantów. Ale ta historia potwierdzona jest przez różnych świadków.

**Wraz z rozkwitem PRL-u wśród lekarzy psychiatrów popularne stało się powiedzenie: „Kogo nikt nie chce, Kobierzyn przyjmie”.**

– W Polsce Ludowej tylko część pensjonariuszy Kobierzyna stanowiły osoby chorujące psychicznie. Byli tam bezdomni, narkomani, alkoholicy, nawet chorzy na stwardnienie rozsiane albo osoby, które nie radziły sobie w życiu, szukały azylu. Widziałam, gdy pisałam do „Gazety Krakowskiej”, jak lekarka bada sparaliżowanego bezdomnego. „Zwróciliśmy się do Wydziału Zdrowia i Opieki w Nowym Sączu, skąd pochodzi – powiedziała mi. – Odpisali, że przyjmą go. Za 20 lat, jak wybudują zakład”.

**Weszła tam pani po raz pierwszy w 1986 roku. Twierdzi, pani, że nadużyciem jest nazywanie „szpitalem” to, co pani zastała.**

– Bo osoby, które przekraczały wtedy bramę Kobierzyna, często zostawały do końca życia, nawet po kilkadziesiąt lat. Pierwsze leki psychotropowe to koniec lat 50. Wcześniej chorych wprowadzano w śpiączkę insulinową. Stosowano elektrowstrząsy. Pani Janina, chcąc uchronić pacjentów przed tym bolesnym zabiegiem, kłamała czasem lekarzom, że nie upilnowała, czy ten albo inny wypił rano wodę, a trzeba było być na czczo.

Była też lobotomia, do dziś dla medycyny rozdział wstydliwy. Ale twórca tego zabiegu Egas Moniz dostał za nią w 1949 roku Nagrodę Nobla, a z wykonywania tego zabiegu zaczęto się wycofywać dopiero dziesięć lat później. Amerykańskie „badania” propagatorów lobotomii przez lata były fałszowane. Ukrywano realne, a nieodwracalne skutki: pacjent traci poczucie własnego „ja”, poczucie czasu, przestaje mówić, staje się potulnym niemowlęciem.

Wraz z wejściem pierwszych leków leczenie psychiatryczne nazywano „terapią drzwi obrotowych”. Pacjenci w szpitalu dostawali serię leków, zazwyczaj wszyscy te same, i jeśli następowała poprawa, mogli być zwolnieni. Po kilku miesiącach znowu wracali. Nie było pozaszpitalnej opieki psychiatrycznej, wracali więc najczęściej w karetce, w ostrej psychozie. Odkąd w 1994 roku wprowadzono ustawę psychiatryczną, to na pozostanie pacjenta w szpitalu wbrew jego woli musi zgodzić się sąd. Wcześniej osobę w szale, psychozie, awanturującą się przywoziła karetka albo milicja. Dawano serię silnych zastrzyków i drzwi się zamykały. Człowiek był szorowany i przebierany w szpitalną piżamę. Nie mógł mieć osobistej bielizny, nawet kubka. Widziałam wtedy jedzących z metalowej miski albo chorych, którzy wypędzeni o szóstej rano z łóżek, spędzali dzień do dwudziestej drugiej w tym samym pomieszczeniu. Z toalety wypływał kał, bo była wiecznie zapchana. W jednym pomieszczeniu siedziało 20-30 mężczyzn. Alkoholicy, narkomani, schizofrenicy, osoby w depresji i agresywne – bez różnicy. Nie oferowano im żadnych zajęć, poza posiłkami. Miesiącami nie wychodzili na świeże powietrze. „Kto by ich tam pilnował?” – przyznała mi jedna z pracownic. Siedzieli tam, stali, palili papierosy, częściej skręty z gazety, bo nie mieli pieniędzy. Brali zastrzyki – często wszyscy tą samą igłą – i czekali, aż im się poprawi nastrój.

Rodziny zazwyczaj szybko przestawały interesować się swoimi bliskimi. Nie było wiedzy o chorobach psychicznych. Jeden z pacjentów relacjonował mi: „Brat z ojcem mnie biją, krzyczą, wypędzają, to mamusia wczoraj mówi *Idź, Jasiu, do Kobierzyna, bo tu jeszcze większy Kobierzyn*. I dała mi na drogę cukierki, żebym tylko poszedł”.

**O przemocy w szpitalu w latach 80. otwarcie opowiedział pan Marian.**

– O mężczyznach leżących jeden za drugim na betonie, obnażonych, ze skrępowanymi rękami. O biciu, gwałtach.

**Jest w książce scena, gdy stoi z innymi pacjentami w piżamie na mrozie w lutym i nogi bolą go z zimna. Za oknem, w środku budynku, śmieją się salowi. To 2003 rok.**

– Z panem Marianem spotykałam się wielokrotnie. Jego opowieść jest bardzo spójna, pokazywał konkretne miejsca na terenie szpitala, opisywał szczegóły. Długo miałam jednak pewne wątpliwości. Przecież jest przewlekle chory na [schizofrenię](http://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/1,34862,18994268,schizofrenia-choroba-tajemnica-leki-wyciszaja-obsesyjne.html). Spotykaliśmy się w okresach remisji, ale jednak... Czy powinnam zaufać? Ostatecznie zdecydowała moja rozmowa z dyrektorem szpitala dr. Andrzejem Kowalem. Umówiłam się z nim w 2015 roku, kilka tygodni przed jego śmiercią. Wiedziałam, że choruje. Kiedy weszłam i zobaczyłam, w jak ciężkim jest stanie, chciałam się wycofać. Zależało mu jednak, żebym została i go wysłuchała.

Wyraził żal, że nie przeciwdziałał wystarczająco temu, co działo się w szpitalu z chorymi w nocy, a o czym dostawał sygnały. Ze względu na braki personelu lekarze byli do wczesnych godzin popołudniowych, pielęgniarki do wieczora. Na noc pacjenci zostawali tylko z salowymi. To byli w większości młodzi, prości mężczyźni z okolicznych wiosek. Część z nich okazała się sadystami. Zresztą ten, którego pan Marian opisywał jako najokrutniejszego, został później pacjentem Kobierzyna.

**Opowieść pana Mariana to nie tylko świadectwo przemocy w Kobierzynie, ale też przykład, jak bardzo choroby psychiczne odzwierciedlają czasy, w których pacjentom przyszło żyć.**

– Pan Marian pochodzi z biednej rodziny, ojciec od zawsze pił i bił. W latach 70. Marian wyjechał na Zachód, żeby dobudować piętro nad domem rodziców. Matce wysyłał dolary i czekolady, żeby sprzedawała i odkładała. W Wiedniu zastał go stan wojenny. Nie znał języka, informacje czerpał od innych Polaków. Ktoś doradził Kanadę. Dostał azyl i trafił do raju dla uchodźców: elegancki hotel, restauracja. Ale nie znał języka, nie mógł więc niczego się dowiedzieć ani wyjaśnić. Dziwił się: za darmo, w takim hotelu? Nigdy wcześniej nic od nikogo nie dostał. Zaczął być podejrzliwy, zadawać sobie pytanie, dlaczego to akurat on dostał w Polsce paszport bez problemu, skoro koledzy nie dostawali. Może to jakaś zasadzka? Może UB? Z ostatnich pieniędzy zapłacił za hotel, chociaż próbowano mu tłumaczyć, że nikt tego od niego nie oczekuje, i uciekł. Był bezdomny, pracował w lakierni, gdzie zatruł się toksycznymi chemikaliami. Był samotny, nie wiedział nic o rodzinie, wbił sobie nóż w brzuch i skoczył z mostu. To chyba początek jego choroby psychicznej, którą tam zdiagnozowano. Trafił do świetnie wyposażonego kanadyjskiego szpitala, gdzie zajęto się nim profesjonalnie. Skontaktowano go z rodziną, a wtedy matka, ta prosta kobiecina ze wsi, postanowiła go ratować, jak umiała najlepiej. Sprowadzono go do Polski, ale tu, poza matką, rodzina patrzyła na niego podejrzliwie i z niechęcią. Jak to? Wraca bez dolarów? Choroba rozwinęła się w pełni. Przewieziono go do Kobierzyna, zamknięto w jednym pomieszczeniu z trzydziestką innych mężczyzn. A w nocy przychodzili salowi.

**Drugim przykładem, jak choroba psychiczna splata się z czasami, w jakich żyjemy, jest inżynier Wojciech.**

– Po studiach podjął pracę w Hucie Katowice. Opowiadał mi to tak: „Działy się tam takie rzeczy, że zdrowo myślącego człowieka muszą wpędzić w chorobę. Nic nierobiące urzędniczki, kierowcy nie rozliczani z benzyny ani z czasu. Nowym japońskim spawarkom wykręcano części i rozkradano. W warsztacie woda po kostki. Przyjmowałem raz w Hucie człowieka, który zaprojektował te warsztaty. Zaprowadziłem go, pokazałem, a on: *Co mnie to obchodzi, już warsztaty przekazałem*. Wziął talon na samochód i odjechał. Wandalizm na każdym kroku, a wszyscy mają 40 procent premii za priorytetową budowę!”. Pan Wojciech zrobił w końcu awanturę dyrektorowi, naubliżał mu. Karetka zawiozła go do Kobierzyna.

Po wyjściu ze szpitala pracował jeszcze w warsztatach PKS. Tam trafił na nagminne rozkradanie części autobusowych. Tylko w dokumentacji wszystko się zgadzało. Wpadł w szał i spalił dokumenty na placu, przy brygadziście. Znów odwieziono go do Kobierzyna.

Tak, miewa okresy manii. Ale ciekawe, że gdy inni latami godzą się na fałszerstwa i kradzieże, to uznajemy ich za zdrowych. Opisując to, zadawałam sobie pytanie: kto tu jest normalny?

**„Gdyby kogokolwiek z nas umieścić w tych warunkach na parę dni, stałby się jednym z nich” – pisze pani o Kobierzynie lat 80.**

– Kto miał układy, znajomości – albo jeśli rodzina wywalczyła – leczył się w Szpitalu Klinicznym Akademii Medycznej, który miał lepszą renomę. Ale nie znaczy, że w Kobierzynie nie było ludzi ze wszystkich środowisk. To tu spędził praktycznie całe dorosłe życie najmłodszy syn Stanisława Wyspiańskiego, słynny „Śpiący Staś” z obrazu. Pani Janina mawiała: „Ojciec taki słynny malarz, a on czarny chleb u nas je na ławeczce”.

**Dziś to już nie tamten Kobierzyn.**

– Nie używa się nawet tej nazwy, która przez dziesięciolecia nasiąkła pogardą i lękiem. Dziś to Szpital Specjalistyczny im. Józefa Babińskiego. Kilka lat temu urzędnicy wpadli na pomysł, by zabrać chorym ten cenny podkrakowski teren, na którym jest szpital, a wybudować wielki, nowoczesny gmach. Pracownicy protestowali i uratowali Kobierzyn. Dzisiejszy dyrektor Stanisław Kracik nie jest lekarzem, ale za to bardzo sprawnym menedżerem. Zdobywa fundusze, w tym unijne, remontuje oddziały, zapewnia personelowi specjalistyczne szkolenia. Psychiatria jest w Polsce chyba najmocniej niedofinansowaną gałęzią medycyny, ale ta placówka przeszła imponującą przemianę. Pacjenci mają psychoterapię, muzykoterapię, choreoterapię, pracownie malarskie, wystawy, by zdrowieć i jak najszybciej wrócić do domu. Nacisk kładzie się na opiekę ambulatoryjną, środowiskową w miejscu zamieszkania. Takie zmiany wymusza ekonomia – taniej jest leczyć pacjenta ambulatoryjnie niż w szpitalu. Jaki jest cel kuracji? Powrót do życia sprzed choroby, do pracy, rodziny, przyjaciół, hobby.

**Ten powrót powinniśmy ułatwiać, ale tego nie robimy – jak wynika z pani książki.**

– Bo łatwiej wyremontować szpital niż nastawienie całego społeczeństwa. Nie przyjmuje się osób z epizodem leczenia psychiatrycznego do pracy. To zamknięte koło, bo chory, mając przeświadczenie, że już nigdy nie będzie społecznie przydatny i nie zarobi na godne życie, zapada się w chorobę. Zrywamy z takimi osobami kontakty towarzyskie, a nawet rodzinne.

**Podaje pani przykłady: rodziny nie odbierają chorego ze szpitala, a pobierają jego rentę. Pacjent dostaje w szpitalu dres, bo rodzina z domu go nie dowozi, choć już od lat na oddziale można przebywać w prywatnych ubraniach. A jeszcze krewni podczas odwiedzin ten dres szpitalny kradną.**

– Jakaś odwiedzająca rodzina wyniosła z oddziału nawet kwiaty w donicach. Zwłaszcza seniorzy, których jest w naszym społeczeństwie coraz więcej, najczęściej przywożeni są przez krewnych przed wakacjami i świętami. Lekarka mi opowiadała: „Widzę, że ten starszy pan ledwie się rusza. Ale syn twierdzi, że latał po domu z nożem. Nie mogę nie przyjąć”.

Inna rzecz, że wielu chorych nadal woli leczyć się w szpitalu niż w otwartych, miejscowych oddziałach dziennych z powodu strachu przed „dekonspiracją w swoim środowisku i odrzuceniem”. Zwłaszcza pochodzący z niedużych miejscowości. Wyjeżdżają z domu do szpitala na kilka tygodni i nikt nie wie, gdzie są, można powiedzieć cokolwiek. Chodzenie na dzienny oddział w swojej miejscowości (jeśli taki jest!), na codzienną terapię zajęciową, to strach. „Idę tam, jakbym szła do sex-shopu – zwierzała mi się chora. – Ciągle oglądam się za siebie, czy ktoś znajomy nie widzi”.

Kapelan w Kobierzynie, ks. dr Jan Klimek sam zdecydował, że chce pracować właśnie tu, z chorymi. Opowiadał mi, że kardynał Dziwisz, rozumiejąc, jak specyficzna jest to praca, pozostawił mu możliwość odwrotu. Ale pozostał. Gdy zaprosił swoją matkę, żeby zobaczyła Kobierzyn, pospacerowała z nim po parku, obejrzała zniszczone jeszcze budynki, po czym zapytała: „Coś ty, Jasiu, zrobił, że cię tu zesłali?”.

**Zmienia się psychiatria. Jest coraz więcej łóżek geriatrycznych, nowe oddziały dla młodych uzależnionych od zakupów, internetu, dopalaczy.**

– Ale trudno zmienić stosunek społeczeństwa. Pamiętam z dzieciństwa czy wczesnej młodości, że w latach 60. czy 70. wstyd było chorować na raka. Dziś trudno to zrozumieć, prawda? Mam nadzieję, że za jakiś czas trudno będzie zrozumieć, że odrzucaliśmy osoby chorujące psychicznie. Zwłaszcza że w naszym społeczeństwie takich osób z cięższymi bądź lżejszymi, okresowymi choćby, zaburzeniami psychicznymi jest ponad 7 milionów.

***Krystyna Rożnowska****- reporterka, pracowała w „Gazecie Krakowskiej”, opublikowała m.in. „Cyganie. Woźni sądowi. Miłość nieszczęśliwa” (współautorka), „Każdy może zabić”, „Uleczyć świat”, „Płeć serca”, „Dziecko z zespołem Downa”*